



Kochani...

Już przeszło dwa i pół lat istnienia li-
czną nasze „Krasnoludki”, wydawane przez
Krasnani. Zadaniem ich jest skupić jak
największą ilość dzieci, któreby czytały
je i utrzymywały łączność z Krasnalami
w Redakcji. Jak i zawsze, na początku
było nas mało. Bo piśmko nasze, łącznie
z „Naszym Życiem”, nie wszędzie dociera-
ło, toteż nie każdy je czytał, lub nawet
wiedział o nim. Jednakże z biegiem czasu
czasopismo rozchodziło się coraz szerzej
i zjednywało coraz więcej czytelników.
I dziś, czyto w Liepai, czy w Żilupe —
zawsze znajdziemy nasz ulubiony i jedy-
ny w Łotwie tygodnik.

Oczywiście, wraz z rozpowszechnie-
niem się pisma polskiego — wzrastała i na-
sza miła gromadka. Od niedużej garstki
na początku, wzrosła do gromady, z któ-
rej można by było utworzyć kilka szkół.
Jednakże to jeszcze jest mało. Bo dzieci
polskich w Łotwie jest jeszcze więcej,
więc zrozumieliśmy jest, że nie każdy je
czyta. A czytać trzeba i to w języku oj-
czystym. Dzisiaj każde państwo stara się,
by wszyscy umieli czytać i pisać. Kras-
nale zaś starają się, by wszystkie dzieci
polskie, zamieszkujące Łotwę, mogły czy-
tać i pisać po polsku. Pragną, aby wiado-
mości z rozmaitych krajów, wiersze i
powiastki dzieci polskie czytały w ich ję-
zyku ojczystym. Bo przecież nie każde
polskie dziecko chodzi do polskiej szkoły.
Wszakże rozmawia po polsku, modli się
do Pana Boga z polskiej książki, toteż
chcielibyśmy żeby i o wieściach z szero-

kiego świata dowiadywało się z polskiej
gazety. Wszystko to Krasnale pragną u-
czynić przez swoje „Krasnoludki”, nawią-
zując łączność, w miarę możliwości, z coraz
to nowymi naszymi czytelnikami „Kras-
noludków”. Tego zadania sami dokonać
nie są w stanie. Dopomóc zaś w tym mo-
gą im nasi czytelnicy i przyjaciele, którzy
od dawna czytają „Krasnoludki” i z nami
korespondują. Każdy przecież ma swych
przyjaciół czy przyjaciółki, którzy jesz-
cze nie czytali „Krasnoludków”. A takich
jest dużo. Przy staraniu i troskliwości
naszych przyjaciół ci dotychczas „nieczy-
tający” mogliby nawiązać z nami łączność.
Ładny przykład tego dała Anusia Rąbkie-
wiczówna z Birż, która do naszego grona
potrafiła wciągnąć kilka swoich koleżan-
ek. Jeśli każdy z naszych młodych czy-
telników potrafi tego dokonać, to nasze
grono powiększy się kilkakrotnie. Obec-
nie jest pora letnia, każdy bądź odpoczy-
wa, bądź, jak na wsi, pomaga Rodzicom
przy zbiorze plonów, toteż stosunki ze
swymi kolegami i koleżankami nie są tak
ściśle utrzymywane. Ale wkrótce wakac-
je skończą się i każdy ruszy do szkoły,
znajdzie swych stałych kolegów, a także
młodszych, którzy tylko w bieżącym roku
szkolnym normalnie rozpoczną chodzić do
szkoły. Otóż zadaniem naszych czyteln-
ków jest wciągnąć tych młodszych swoich
koleżanek i kolegów do grona naszego,
tak, by każdy z nich czytał „Krasnoludki”
i utrzymywał z Krasnalami łączność.

Krasnal Włóczęga

Królewska koza

Janeczka chorowała ciężko. Przez blisko dwa tygodnie nie opuszczała jej wysoka gorączka, ból w płucach i dreszcze. Leżała w łóżku, a chociaż panna Adela, nauczycielka w pensjonacie, gdzie Janeczka przebywała od dwóch lat po śmierci rodziców, była dla niej bardzo dobra, przecież dziewczynka czuła się ogromnie samotna i nieszczęśliwa.

Dzisiaj już najgorszy okres choroby minął, Janeczka chodzi, cieszy się słońcem i małym ogródkiem zakładowym, gdzie kwitną takie śliczne kremowe róże. Ale najwięcej cieszy się Janeczka listem od ciotki Juli, dalekiej krewnej mamy, który jej przyniosła poczta poranna.

Jakże jest szczęśliwa! Ciotka dowiedziała się o jej chorobie i zaprasza na lato do siebie na wieś w śliczną, górzystą okolicę, gdzie wije się srebrna rzeka i rosną stare, szumiące bory. Janeczka cieszy się ogromnie, miałaby ochotę skakać z radości, tylko, że jej jeszcze nie wolno. Kochana panna Adela odwiezie ją do Rudek.

Chociaż oczekiwanie na coś miłego zawsze wlecze się w nieskończoność, przecież upragniona chwila nadeszła i Janeczka znalazła się w objęciach ciotki na małej stacyjce, a wkrótce po tym w starym dworze, otoczonym ślicznym parkiem i ogromem warzywnym.

— Moja dziecinko, jakaś ty jeszcze mierzna! Podrosłaś tylko przez te dwa lata, jak cię ostatni raz widziałam na pogrzebie twojej mamy i, jak na 9 lat, jesteś dość duża — mówiła ciotka Julia serdecznie. Dobrze, że doniesiono mi o twojej chorobie jeszcze na czas, przed naszą podróżą. Panna Adela zgodziła się zostać tu z tobą, więc nie będziesz zbyt samotna, a nasze czyste powietrze i słońce dobrze ci zrobi. Ale patrz, jaką będziesz miała jeszcze towaryszkę!

Ciotka Julia ujęła Janeczkę za rękę i poprowadziła na zieloną łączkę za dworem, gdzie pasła się śliczna biała koza.

— Lekarz przepisał ci mleko kozie, więc daruję ci to białe stworzonko bardzo miłe i wesole. Z pewnością zaprzyjaźnicie się ze sobą.

— O, ciotciu, jakież ona śliczna! A jak jej na imię?

— Nazywała się dotąd poprostu Kozia, a ty nazwiesz ją, jak zechcesz, Kochanie. Kozia, rozumiejąc, że o niej mowa,

zwróciła swój biały pyszek w stronę Janeczki i bystrymi, wesołymi oczkami spojrzała na nią przyjaźnie.

— To niech będzie dalej Kozia, ale nie taka zwyczajna, tylko „Królewna Kozia”, bo piękniejszej chyba nie może być na świecie! Jaki ona ma lśniący, jedwabisty włos i delikatny pyszek!

— Cieszę się, że poznałaś się na jej urodzie bo to rzeczywiście bardzo ładny gatunek kozy kaszmirskiej o długim włosie. Ojczyzną jej pradziadów była Azja, gdzie żyją dotychczas najliczniejsze i najpiękniejsze gatunki kóz, a długowłose kaszmirskie, angorskie i tybetańskie kozy dostarczają materiału na bardzo delikatne i trwałe tkaniny. Zamieszkują one okolice górzyste. I nasza Kozia nie czułaby się dobrze na równinach. Jest żywa i zwinną, lubi wspinąć się po górach, skakać przez rowy i ploty, wlażyć na pochyłe drzewa; przypatrz się jej racicom, do takich sztuczek karkołomnych doskonale przystosowanym. Protoplastą naszych zwykłych kóz, jakie nieraz tu spotkasz całymi stadami, jest prawdopodobnie tak zwany Kozioł bezoarowy, żyjący w górach Kaukazu i Azji Mniejszej. Pewno już uczyłaś się o kozach i wiesz, skąd pochodzi ta nazwa „bezoarowy”?... Nie wiesz jeszcze? Otóż bezoarami (po arabsku „Badezar” czyli odtrutka) nazywają się skamieniałości, powstałe w żołądkach kóz kaukaskich z włosów, włókien roślinnych i innych przedmiotów, nie dających się strawić. Są to okrągłe kulki o gładkiej powierzchni, ciemnobrunatne lub zielonawe o ostrym smaku i aromatycznej woni. Mieszkańcy Wschodu przypisują im własności cudowne, uważając je za doskonały środek leczniczy w rozmaitych chorobach i przeciw zatruciom. Ale nasza Kozia pochodzi ze szlachetniejszego rodu. Jak ci się podoba jej pyszek delikatny, mądre oczka i śmieszna, długa bródka? Jest taka brodata a taka młoda, bo, popatrz, prawie nie widać jej jeszcze rożków z pod gładkich, miękkich włosów. Za parę lat będzie twoja Kozia miała ładną ozdobę na czole. Przybędą jej rogi, pięknym łukiem w tył wygięte, poprzecznie karbowane od corocznych przyrostów a wewnątrz puste, jak u wolu. Będzie wtedy może trochę poważniejsza, ale teraz — zobaczysz, jaką ci będzie miłą towarzyszką.

Dobra ciotka Julia i wujcio odjechali

wkróćce, ale Janeczce nie przykrzyło się wcale. W górskim, czystym powietrzu odzyskiwała szybko siły, a z „Królowną Kozią” zaprzyjaźniła się na dobre. Już o świcie ukazywała się w otwartym oknie parterowego pokoiku, gdzie Janeczka sypiała z panną Adelą, biała główka Kozi i wesołe „me-e-e” pozdrawiało ją na dzień dobry. Przy porannej kawie na werandzie Kozia stała z krzesłem dziewczynki i niecierpliwie chwytała ją delikatnie wargami za warkocz lub skukienkę, dopominając się o kawałek cukru, za którym przepadała. Potem następował spacer po parku, przeplatany gonitwą, potem czytanie i nauka przyrody z panną Adelą, na łączce nad strumieniem, w czasie której „Królowna” zajadała trawę i kiwała poważnie głową, a po obiedzie wyprawa na przyległe wzgórze, gdzie Janeczka brała lekcje wspinania się po zboczach od swojej nadzwyczaj doświadczonej w tym kierunku przyjaciółki. Wtedy też zbierała rośliny do zielnika, walcząc nieraz z Kozią o jakiś ładny okaz, który dla obu przedstawiał cenną, tak różną wartość. A jak Kozia umiała się pieścić i wtulać swój jedwabisty pyszczek w wyciągnięte

dłonie Janeczki! A jak dobrze robiło dziewczynce jej gęste, żółte, zdrowe mleko!

Raz tylko nabawiła Kozia wszystkich niemałego strachu. Gdy Janeczka siedziała z panną Adelą w pokoju, układając i znacząc zasuszone rośliny, nagle wpadła Nastka, wołając, że Kozia zwariowała. W jednej chwili zmartwiona dziewczynka i panna Adela pobiegły na podwórzec, gdzie istotnie Kozia wyprawiała dziwne harce i z wykrzywionego pyszczka toczyła białą pianę. Na szczęście wszystko skończyło się śmiechem, gdy gospodyni wyjaśniła, że Kozia porwała z miseczki na oknie kawałek mydła a, poczywszy jego ostrego smaku, usiłowała go wypluć.

Wakacje minęły jak sen. Janeczka rumiana i zdrowa żegnała gościnne Rudki i długo nie mogła się rozstać z Królowną Kozią, która, jakby rozumiejąc rozłąkę, beczala długo i żałośnie. Ale nadzieja zobaczenia za rok kochanych Rudek i pieczoszek Kozi pocieszały dziewczynkę ogromnie. Przytulona do ramienia panny Adeli w pociągu, szybko zdążającym do Krakowa, uśmiechała się Janeczka przez tży do przyszłych wakacyj.

Zofia Sokolowska

Skarb w lasce

W r. 550 do pałacu cesarskiego w Konstantynopolu przyszło dwóch zakonników, prosząc, żeby dopuszczono ich przed oblicze cesarza Justyniana.

Cesarz kazał ich wpuścić.

— Skąd przechodzicie? — zapytał.

— Z Persji, gdzie głosiliśmy słowo Boże — odrzekł starszy zakonnik. Przynosimy ci stamtąd skarb, cenniejszy nad złoto, perły i diamenty.

Odkręcił rączkę od laski, wewnątrz wydrażonej, i wysypał z niej mnóstwo podłużnych ziarenek, barwy szarej z odzieniem błękitnawym.

— Co to jest? — zapytał zciekawiony cesarz.

— Jajeczka jedwabników owadów, które dostarczają jedwabiu — odpowiedział zakonnik — Pod kara śmierci nie wolno wywozić ich z Persji. Jedwabniki dostały się tam z Chin, gdzie od paru tysięcy lat prowadzą ich hodowlę. Z jajeczek wylęgają się gąsienice, które żywią

się tylko liśćmi drzewa morwowego. Gdy dorosną, wysnuwają z siebie cienką, błyszczącą nitkę i tym oprzędem otaczają się dokoła.

Zakonnik skinął na młodszego towarzysza, który tak samo odkręcił górną część laski i wyrzucił na stół kilkanaście kokonów barwy białawej, żółtej lub różowawej.

— Te oprzędy, zawierające w środku poczwarkę, dostarczają cennego jedwabiu — mówił zakonnik — hodowla jedwabników wcale nie jest trudna.

— Ale drzewo morwowe u nas nie rośnie — rzekł cesarz.

— Przynieśliśmy także jego nasiona: przyma się łatwo.

Madry monarcha ocenił wartość przyniesionego z Persji skarbu i wysłał obu zakonników do Grecji, aby tam zasadzili morwy, a skoro drzewa podrosną, rozpoczęli hodowlę jedwabników. Stamtąd przeszła ona do Włoch, później do Francji.

11) O Skrzaciku — Wędrowniczku



Tuż za lasem widać było osadę bobrów na niewielkim rozlewisku. Trzeba wam wiedzieć, że bobry budują swe domki na wodzie w obawie przed drapieżnikami i są tak mądre, że wejścia do ich domków są pod wodą. Chcąc się tam dostać trzeba dać nurka i dopiero wejść do bobrowej chatki. Skrzacik nic o tym nie wiedział, to też zdziwiony bardzo zwrócił się do żółwia.

— Przyjacielu kochany, jak my się tam dostaniemy? — zapytał.

— O, to drobnostka — odpowiedział żółw — trzymaj się mocno mego ogonka. —

Żółw skoczył do wody i Skrzacik poczuł że tonie, lecz nie zdążył ochłonąć ze strachu, gdy znalazł się już w chatce bobrów.

Cała rodzina sędziwego bobra była zebrana w obszernej izbie, a stary dziadek zaczął opowiadać ciekawe przygody ołowianego Skrzacika. Po skończonej uczcie zaprowadzono obu przyjaciół na odpoczynek.

Nazajutrz obudził Skrzacika dziwny ruch w obozowisku bobrów. Zerwał się szybko, dał nurka i za chwilę zobaczył grono bobrów — żywo rozprawiających na brzegu jeziora.

— Co się stało? — zapytał ciekawie zbliżając się do nich.

— Wielkie nieszczęście — odpowiedział bóbr.

— Z grodu Kraka przyplął do nas Wisłą nasz znajomy sum i opowiada, że w dużej pieczarze u stóp skały, na której stoi gród, zamieszkał potwór smok. Pożera ludzi i bydło, a nigdy nie syty i wciąż ryczy z głodu. Zwierz dziki ze strachu przed nim ucieka. Ludzie z dobytkiem kryją się po lasach, nikt w pole do pracy nie wychodzi. Wielki strach panuje w grodzie. —

— Czemu go nie zabijają? — zapytał Skrzacik.

— Straszny to pono potwór — odpowiedział bóbr, — piorun go nie zabije, a woda go nie zabierze, a skóry jego nie przebije miecz. —

Skrzacik usiadł opodal na kamieniu i zamyślił się głęboko. Nagle wspomniawszy o zaczarowanej fujarce i podbiegł do starego bobra. Długo naradzali się obaj, potem zbliżywszy się do gromady stary bóbr rzekł:

— Skrzacik ma zaczarowaną fujarkę i niech jedzie do grodu. Zawołać mi tu



szczupaka — Żarłoka — zwrócił się do zebranych.

Po chwili przyniesiono Skrzacikowi piękny pas misternie z bobrowej sierści upleciony i kobiałkę z jagodami i grzybami.

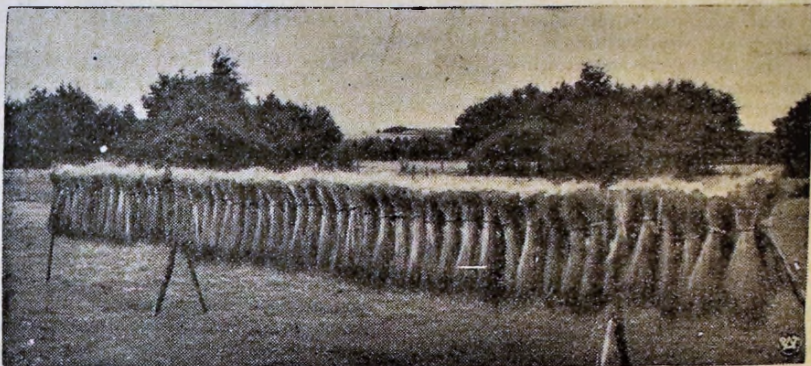
Podziękowawszy za gościnę Skrzacik wsiadł na szczupaka i żegnany przez wszystkich odплыł w stronę grodu.

(DCN)

Uśmiechnij się!

— Ten obraz zupełnie nie zasługuje na zawieszenie. Przecież to obrzydliwość.
— Ależ, przyjacielu, to lustro!

— Ach, taki jestem zmęczony!
— Przecież tylko co wstałeś?
— Ale śniło mi się, że rąbałem drzewo.



Len — bogactwo wsi.

Z bliska i z daleka

Samolot jako siewnik. W Kalifornii w Stanach Zjednoczonych spróbowano użyć samolotu do siewu ryżu. Pierwsza próba wypadła zupełnie dobrze.

Dzielny człowiek. W Austrii 5 żeglarzy otrzymało polecenie wysadzenia na rzece Jarry skały, utrudniającej żeglugę. Żeglarze założyli potężną minę, zapalili lont i wzięli się do wiosel, by jak najprędzej oddalić się z niebezpiecznego miejsca. Niestety, druty miny zaczepiły się o łódź i poczęła ona ciągnąć za sobą minę. Tymczasem lont szybko się palił. Wszelkie próby wyplątania łodzi okazały się daremne i już tylko sekundy dzieliły załogę od niechybnej śmierci. W ostatniej chwili jeden z żeglarzy wskoczył z nożycami do wody i zdążył przeciąć lont tuż niedaleko miny. Dzielny człowiek uratował w ten sposób życie własne i swych towarzyszy.



Hodowla trzody chlewnej w Japonii.

Przygoda laleczki

Z daleka, z horyzontu, przylatywały wielkie bałwany, chyba na metr wysokie. Były prawie czarne, tylko na wierzchu miały białe piany. I stawały dęba tak, jak konie. Czasem taka wielka fala skakała z jednej fali na drugą. Gdy stałam na brzegu, bałam się, że wpadnie na mnie i porwie.

Ale widocznie mocno musiała rozbić się po drodze, bo zanim dopadła do brzegu tak się zmniejszyła, że nie była już podobna do cugowego konia, tylko do małego pieska, który przybiega, żeby panu polizać nogi. Zapatrzyłam się w te skaczące fale i nie wiedziałam, co się koło mnie dzieje. Naraz podnoszę głowę i widzę daleko, daleko mały punkcik.

Co to może być? Im dłużej patrzę, tym punkcik się zwiększa, zamienia się w linijkę, najpierw pionową, potem widzę, że ta pionowa opiera się na drugiej linii poziomej. Potem widać biały kolor. Statek! Był to naprawdę statek. Zbliżał się coraz prędzej. Już wyraźnie widać maszty i część kadłuba. Stałam z zapartym oddechem. Nagle zobaczyłam, że dalej ukazuje się drugi statek, potem trzeci.

Teraz można było zobaczyć jednocześnie trzy statki.

Pierwszy statek było widać prawie cały, drugiego tylko maszty, a trzeciego połowę masztów.

Przypomniało mi się, co mówiła panienka i powtarzałam sobie po cichu: „Okrążłość ziemi zasłania statki“. Przyszło mi na myśl, że kiedyś w pokoju na stole widziałam jabłko. Po jabłku chodziła mucha. Jak się zbliżała do mnie, to lepiej ją było widać. A jak zeszła na stół, to czy poszła bliżej, czy dalej, to zawsze całą było widać. I pomyślałam sobie, że ziemia to jabłko, a statki to muchy.

Ubawiło mię to i miałam ochotę klaskać w ręce i wołać: — Statki to muchy, statki to muchy! — Dopieroby się dziwili, że taki wielki statek nazywam muchą! Myślałam, że statki — muchy przyjada do brzegu i można będzie obejrzyć je z bliska. Widać było jeszcze maszty, potem punkciki, potem nic.

— Muchy polazły na drugą stronę jabłka! — pomyślałam sobie i usiadłam na piasku.

Piasek był śliczny. Gdzie okiem sięgnąć, wzdłuż całego brzegu ciągnie się jego srebrny pas. A taki czysty, że moja żółta sukienka na się nie zbrudziła! Dorosła ten piasek nazywają plażą. Chcia-

łam poskakać i pobiegać po piasku, ale musiałam siedzieć i patrzeć, bo jestem tylko laleczką, choć noszę tak piękne imię — Klara!

Ale widziałam, jak biegają dzieci. Jak tam można się ładnie bawić! Dzieci są ubrane w kostiumiki kąpielowe. Ręce i nogi mają czarne od słońca. Na plaży bawią się i biegają cały dzień. Jak się biega, to piasek tak ładnie gra, jakby miliony zaczarowanych wróżek, ukrytych w piasku, grały fujareczkach. A morze wtóruje, jak organy w kościele. Ale piasek gra tylko wtedy, jak się po nim przedziutko biega.

Można też z piasku budować wspaniałe rzeczy. Jak jest piasek za suchy, idzie się i w małym kubleczku przynosi wodę z morza. Ale pić tej wody nie można, bo jest bardzo słona. Ale piasek może się jej napić. Wtedy jest wilgotny i można zbudować małe piwnice, albo zamki. Można też z piasku wzniesić taki duży wał, że nieprzyjaciół musiałby ciężką walkę stoczyć, żeby go zdobyć. Jeżeli kto lubi bawić się w inżyniera, który buduje drogi i mosty, to może dużo rzeczy nabudować. Stawy, sadzawki, rzeczki, mostki, wały, domki, wszystko z piasku i z wody! Widziałam, jak bawili się dwaj chłopcy. Jeden wykopał dół, drugi w tym dole się położył. Wtedy pierwszy chłopiec zasypał drugiego piaskiem tak, że tylko cała głowa została na wierzchu, usypał wielki kopiec, wszedł na ten kopiec i zaczął trąbić, żeby wszystkim dać znać, że stoi na straży. Naraz kopiec się obsunął i mały trębacz fiknął koziołka.

Jakże się zaczęli wszyscy śmiać! Najwięcej śmiał się zakopany w piasku chłopiec, który przedziutko wyskoczył z dołu. Innego dnia widziałam, jak jeden pan zebrał małych chłopców i dziewczynki i ustawił ich w rząd. Zaczęli maszerować równym krokiem po plaży. Potem stanęli i gimnastykowali się. Po każdym ćwiczeniu robili głęboki wdech i wydech.

Słyszałam, jak jedna dziewczynka opowiadała drugiej, że najlepiej to jej się podobają wdech i wydech. — Tak mi było dobrze, jakbym była w najładniejszym ogrodzie i wachała różę. I byłam taka lekka, że ciąglehym się goniła, albo skakała przez skakanke.

Troszkę chciało mi się śmiać, bo ja wiedziałam, że jak się robi wdech i wydech, to wciąga się dużo, dużo powietrza, które idzie bardzo głęboko i rozchodzi

się po całych płucach. A powietrze nad morzem jest takie czystuśkie i tak ślicznie pachnie, że dziewczynka myślała, że wacha róże i z radości chciało jej się skakać.

Ale jak się napić morskiego powietrza, to potem tak chce się jeść!

Nad morzem dzieci wcale nie grymaszą nad jedzeniem. Jedzą wszystko, co im mamusia da i proszą jeszcze o więcej. Bo taki jest tam ładny, biały piasek i takie pachnące powietrze i tyle słońca, że dzieci rosna duże, mocne.

A jak ktoś rośnie i tyle rzeczy z piasku buduje, to musi dużo jeść.

Poszliśmy wczoraj na spacer, ale zrobiła się burza. Tak mówili Kaszubi, którzy zawsze mieszkają na półwyspie Hel. Ale jaka dziwna była ta burza! Ani kropli deszczu, ani błyskawicy, ani pioruna! Niebo tylko zrobiło się troszkę szare. I zerwał się wiatr. O, jaki wiatr! Drzewa kłaniały się tak nisko, jakby prosiły morze, żeby im pomogło. Ale wiatr był neliłościwy. Tak je gwał i ciągle w tę samą stronę, że biedne drzewa zawsze już stoją pochylone. Drewniane kaszubskie domki drżały, jakby się obawiały, żeby nie poigłał ich tak, jak drzewa.

Ja sama drżałam. Ale nie byłam przerażona. Miałam tylko wrażenie, że już nie mam przy uszach muszel grających, jak to dawniej zdawało mi się nad morzem, ale że sama przemieniłam się w jedną, wielką muszlę, takie wiatr z morzem wyprawiał harce.

Trwało to do późnego wieczora.

Słońce zapadło w morze, całe krwawe.

CO WIDZIAŁAM W ZATOCE PUCKIEJ?

Przeglądałam swój pamiętnik i chce mi się śmiać, że tyle rzeczy napisałam, a nie napisałam o tym, że jestem nad polskim morzem, które nazywa się Bałtyckie i mieszkam na półwyspie Hel.

Półwysp jest taki wąski, że z jednej strony widać morze, a z drugiej zatokę Pucką. Najładniejsza plaża i najlepsza do zabawy jest nad morzem, ale można też bardzo ciekawe i dziwne rzeczy zobaczyć nad zatoką Pucką. W zatoce niema już takich wielkich fal, jak w morzu. Jest tam woda o wiele spokojniejsza i tylko trochę się kołysze. A przy brzegu jest tak płytko, że woda po kostki. Tylko, że niebardzo przyjemnie jest tam chodzić, bo dno jest bagniste.

Któregoś dnia przyszedliśmy nad zatokę. Stałam nad samiutkim brzegiem i patrzyłam w wodę.

(Dokończenie nastąpi)

Stefania Anczycówna

Włamywacze przy telefonie

W gabinecie tatusia zadzwonił telefon. Cesia odłożyła książkę i pobiegła przez trzy puste i mroczne pokoje. Podniosła słuchawkę.

— Hallo?

— Czy mieszkanie pana doktora Molskiego? — zapytał jakiś obcy, gruby głos.

— Tak, ale doktora Molskiego nie ma w domu.

— A... kto mówi? czy pani doktorowa?

— Nie, też nie jej nie ma...

— A..., przepraszam... czy to pokojówka?

— Nie, też wyszła. Mówi córka doktora Molskiego. Kto mówi? o co chodzi?

Ale z tamtej strony powieszono w tej chwili słuchawkę.

Cesia wzruszyła ramionami i położyła słuchawkę na widelkach. Nagle znieruchomiała z ręką na telefonie. Ależ tak! to napewno włamywacze!... Dowiedzieli się, że nikogo nie ma w domu, że ona jest sama i teraz napewno włamią się do mieszkania, obrabują je, a ją samą... Boże drogi! co z nią zrobią? Cesia zacisnęła palce na słuchawce telefonu ze zgrozy. Mamusia czytała niedawno w gazecie o podobnym wypadku... Co tu robić?

Zrobiło się nagle straszno. Cesia w najwyższym pośpiechu, potykając się o fotel, rzuciła się go kontaktu i zapaliła wszystkie trzy lampy. Nawet tę na biurku także. Ze strachem spoglądała na ciemny prostokąt drzwi do sąsiednich pokojów. Zwykle przechodziła przez nie, nie pomyślawszy nawet, że mogłaby odczuć lęk, ale teraz raptem bała się wprost spojrzeć w tę stronę. Zacisnąwszy zęby, szeroko otwierając oczy i wyętzając je aż do bólu — przeszła przez wszystkie pokoje i zapaliła wszystkie światła. Nie ominęła nawet korytarza i kuchni i wtedy dopiero oparła się o ścianę, obłana zimnym potem, zmęczona strachem, przyciskając mocno tłukące się serce. Potem pobiegła, oglądając się za każdym szelestem do drzwi wejściowych, zamknęła je na wszelkie możliwe zamki, zasuwki i łańcuchy. Wreszcie odetchnęła lżej.

Wolno powróciła do swego pokoju i wzięła znów książkę. Ale litery zamazywały się przed oczami i niespokojne myśli zasłaniały jej wprost stronicę. Podeszła do okna i wyjrzała ostrożnie na ulicę.



Praca w polu

(Dokończenie ze str. 7-ej)

— Jak to dobrze, że mieszkamy na piętrze! na parterze umarłabym ze strachu! — pomyślała. — Ale co robi tamten człowiek po drugiej stronie? stoi i patrzy w okna. Pewno śledzi. Dziwi się, że tyle światła, bo wie przecież, że w domu jest tylko jedna dziewczynka. Namyśla się... A nuż strzeli?

Cesia czym prędzej odeszła od okna i krążyła po pokoju, nie mogąc usiedzieć na miejscu.

— Trrrr!..

Znów telefon! Przeraził ją tak, że skamieniała poprostu. Powoli nieufnie zbliżyła się do aparatu.

— Hallo?

— Czy pan doktor wrócił już może do domu?

— Nie!... ale w domu jest pełno ludzi. Jest brat pana doktora i jeszcze jeden brat... Obaj są bokserami! Tak! A oprócz tego jest pięciu policjantów... Przyszli tu przypadkiem... tak sobie, z wizytą... ale są! i poza tym jest jeszcze mnóstwo ludzi. Sami bokserzy i policjanci. A i... i... i Zbyszko Cyganiewicz też jest!... Też przyjechał z wizytą...

Z trzaskiem położyła słuchawkę. Tak, niech teraz odważą się przyjść!... Już prawie bez obaw krążyła po pokoju, gdy

nagle przykuł ją znów do miejsca dzwonek w korytarzu. Co za beczelność! — dzwonią sobie! gdyby podeszła, powiedzieliby pewnie, że depesza... Chcą sprawdzić, czy naprawdę tu tyle ludzi... Ale niedoczekanie ich. Ojej! ależ alarmują i dzwonią i pukają, aż uszy bołą! „Zuchwali bandyci” pisaliby w gazetach... No, dali spokój! Uff! długo to tak będzie? ojej! znów telefon.

— Hallo!

— To ty, Cesiu? bój się Boga, co się stało? dzwonimy i pukamy, a ty nie otwierasz. Czy usnęłaś?

— Już otwieram, tatku! dobrze, że przychodzicie!...

— Co się stało. Cesiu? — pytał tatuś wchodząc z mamą do gabinetu, gdy mu Cesia wreszcie otworzyła drzwi.

W tej chwili znów zadzwieczał telefon. Tatuś podniósł słuchawkę.

— Hallo! tu doktor Molski... A, dobry wieczór, panie kolego! Tak, przed chwilą wróciłem... Co? ależ nie znam żadnych policjantów!... Moi bracia? bokserzy? w ogóle nie mam braci i... Co takiego? Ale zapewniam pana, że w mieszkaniu moim nie ma Zbyszka Cyganiewicza, skądże znowu... Musiał pan pomylić numer... że co? ach, to nic, to moja córeczka się śmieje.. coś ją musiało rozbawić..